



**NA
GRANICZNYCH
RUBIEŻACH**

Wacław Kazimierz Kasztelan

Pamiętnik „Na granicznych rubieżach” został wydany po raz pierwszy w Warszawie w 1972 roku przez wydawnictwo MON w nakładzie 10000+336 egzemplarzy.

Autorem jest zasłużony oficer Wojsk Ochrony Pogranicza, Pułkownik Wacław Kazimierz Kasztelan (1926-1986).

„Na granicznych rubieżach”, pamiętnik z pierwszego dziesięciolecia Polski powojennej, jest jego pierwszą książką.

Książką interesowały się służby śledcze innych krajów.

*

Wydanie drugie.
2016 - K&P Editrice Monza Italy
Wszelkie prawa zastrzeżone ©
ISBN 978-88-903-944-7-8



Pamiętnik W. K. Kasztelana jest dokumentalną, a zarazem barwną ilustracją sytuacji, w jakiej znajdowały się nasze graniczne rubieże w pierwszych latach po wojnie.

Pionierskie czasy organizowania naszych strażnic, osamotnionych nierzadko placówek, zdanych na własne siły, służba w warunkach ustawicznego zagrożenia zarówno ze strony zorganizowanych i silnych band UPA, jak i elementów dywersyjnych i kryminalnych - wszystko to zostało odtworzone na kartkach pamiętnika.

Autor nie ogranicza się do ogólnikowych stwierdzeń, przytacza szereg konkretnych faktów naruszenia lub usiłowania naruszenia granic Polski, przedstawia nieustrudzoną walkę z tymi przestępstwami, ofiarnie i z poświęceniem prowadzoną przez żołnierzy WOP.

✱

Wszystkie opisane przez autora osoby, fakty i zdarzenia są prawdziwe.

Zdjęcia ze zbiorów autora i archiwalne

NA GRANICZNYCH RUBIEŻACH

*Książkę tę przyjaciółom
i kolegom swoim poświęcam*

ZIEMIA ZROSZONA KRWIĄ

*Jeszcze po lasach kluczą faszyci
ręce ich kainowe...*

W. Broniewski

[...]

Wojska Ochrony Pogranicza, powołane do życia rozkazem Naczelnego Dowódcy WP z września 1945 roku, przystąpiły w niezwykle skomplikowanych warunkach do ochrony granicy państwa, zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego na pograniczu. Sytuacja w kraju była bardzo ciężka: miasta leżały w gruzach, przemysł był zdewastowany, transport doszczętnie rozgrabiony, stały kopalnie i fabryki – okupant niczego nie oszczędził. [...]

[...]

Według danych z 1948 roku bandy dokonały 29 972 napadów zbrojnych, zamordowały 16 351 i raniły 4209 osób, spaliły około 10 000 gospodarstw, zniszczyły 40 większych mostów, 20 stacji kolejowych, 6 kopalń nafty oraz dokonały tysięcy mniejszych aktów sabotażu, dywersji, rabunków itp.

Szczególne zagrożenie bezpieczeństwa wystąpiło na południowo-wschodnim pograniczu. Działo tam szesnaście zgrupowań kompanijnych band UPA o łącznym stanie ponad 6000 ludzi. Na Podhalu i w rejonie Beskidu Śląskiego ożywioną działalność prowadziły organizacje podziemne NSZ, WiN, a także bandy „Ognia”, „Zemsty” i inne. W zachodniej części granicy południowej notowano w tym okresie zwiększoną aktywność uzbrojonych grup, rekrutujących się z byłych członków faszystowskich organizacji, głównie NSDAP i Hitlerjugend, występujących pod różnymi nazwami, jak: „Tunn, Thern Organisation“, „Wehrmacht Hilt West“, „Werwolf“, „Wehring“.

Niespokojna była również zachodnia granica Polski. Tu koncentrowała się głównie przestępczość o charakterze politycznym, nielegalnie przekraczano granicę z bronią w rękę w celach szpiegowskich i dywersyjnych. [...]

[...]

Granica była newralgicznym punktem, tu najbardziej było widoczne nasilenie i charakter tych wrogich poczynań. Przez granicę wiodły bowiem kanały, którymi obce centrale wywiadowcze i ośrodki dywersyjne kontaktowały się z podziemiem działającym w kraju, a także organizowały przerzut materiałów propagandowych i ludzi. Na granicy był początek walki... [...]

[...]

— stosują szantaż.
— Niech pani weźmie pod uwagę, że najbliższa rodzina mieszka tutaj. Odmowa współpracy pociągnie za sobą fatalne dla niej skutki — argumentują w ostateczności, gdy ich ofiara odrzuca szpiegowską ofertę.

Odmienne taktkę stosuje się wobec tych, którzy zbiegli z Polski do NRF z tak zwanych „pobudek” lub chcąc uchylić się od odpowiedzialności sądowej. Względnie łatwo jest też dotrzeć do emigrantów z okresu wojny, którzy po rozwiązaniu polskich jednostek wojskowych na Zachodzie zadeklarowali służbę w kompaniach wartowniczych zachodnich sojuszników.

Gabinety, w których się odbywa nauka szpiegowskiego rzemiosła, są wyposażone w plansze i makiety broni oraz sprzętu wojskowego, w cały arsenał środków chemicznych, przeróżnych aparatów fotograficznych, radiowych, szyfrujących itp. Najwięcej jest fotografii: zdjęcia kolorowe i czarno-białe, małe i duże, przedstawiające sprzęt bojowy Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych, odpowiednio posegregowane według przynależności państwowej, rodzajów broni i typów czołgów, samolotów, okrętów, rakiet itp. Są również fotografie, rysunki i opisy umundurowania, odznak formacji oraz naramienników ze stopniami wojskowymi. [...]

[...]

Wiadomości uzyskane od zatrzymanych agentów były dla nas bardzo cenne. Decydowały niejednokrotnie o naszym powodzeniu. Pamiętam jedną z poważniejszych spraw realizowaną właśnie na podstawie zdobytych wiadomości i zakończoną sukcesem. Wgląd do akt sądowych umożliwia mi pełne jej odtworzenie. Sprawę rozpatrywał Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego.

[...]

„...Za wykonanie zadania wywiadowczego „Stary” przyrzekł mi wynagrodzenie w wysokości 3000 marek NRF, uzależniając tę sumę od wartości szkiców i materiałów

szpiegowskich... Uważam, że wysyłając mnie do Polski, „Stary” chciał się upewnić co do mojej osoby, a dopiero później zamierzał wysłać mnie po raz drugi po prawdziwe informacje wywiadowcze... Jestem winny zbrodni szpiegostwa. Jako Polak nie czuję się dobrze, żałuję bardzo, że tak postąpiłem...”

[...]

Tadeusz K., w myśl art. 6 i 7 dekretu z dnia 13.06.1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa, został skazany na karę dziesięciu lat więzienia.

[...]

Sprawa ujęcia T. i K., agentów trzech wywiadów, była swego czasu głośna w naszych wojskach. Agentów zatrzymali żołnierze WOP w wyniku trudnego, prowadzonego w warunkach górskich pościgu, w którym wiele pomógł pies tropiący. Nie znaleźliśmy jednak szczegółów szpiegowskiej działalności tych ludzi. W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że skazani zostali przez sąd wojskowy na karę śmierci. [...]



Dowód osobisty agenta T. Wystawiony na nazwisko Möstel

[...]

Granica na tym odcinku przebiega szczytami gór i reglami, przecina przełęcze, turnie i upłazy, miejscami schodzi w dół, to znów pnie się ku wierchom, aż pod niebo, i tam ginie w morzu mgieł, jakby zawisłych nad przepaściami. Gdy nie ma mgły i świeci słońce, a chmury przechodzą nisko, tuż nad szczytami, wówczas widzi się na ich tle własny cień. Zjawisko niepowtarzalne, jedyne. Wiatr chodzi tu przedziwnie. Czasem po jednej stronie lasu jest cicho, po drugiej drzewa gną się w pałąk, pękają z trzaskiem i kładą pokotem. Innym znów razem las stoi nieruchomo, z daleka leci szum, jest coraz bliżej i wreszcie ogarnia wszystko dookoła, przechodząc w jeden potężny grzmot.

To halny, któremu nic się nie oprze. Wieje najczęściej na przedwiośniu i jesienią. Wiosna w górach jest krótka, a jej zwiastunami są pierwiosnki, które wyrastają niekiedy spod śniegu. [...]

[...]

Służba na tym odcinku granicy dała mi okazję poznania piękna Tatr, Podhala i Ziemi Orawskiej, a także ludzi, którzy służyli Ojczyźnie, jak mogli najlepiej. Wielu kurierów nie doczekało dnia zwycięstwa i wolności. Zginęła Helena Marusarzówna, wielokrotna mistrzyni Polski w kombinacji alpejskiej, biegach zjazdowych i slalomie specjalnym. Faszyci słowaccy ujęli ją na granicy, gdy szła z zadaniem do kraju, i przekazali w ręce gestapo. W kazamatach hitlerowskich zginęli również kurierzy: Feliks Klaper, Wilhelm Zyzda, Urszula Fedak, Józef Łuszczak-Gąsienica, Piotr Kolesar i wielu innych. [...]

[...]

Żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza wiedzą, że spiekota i deszcz, zawieja albo biała kurzawa to nieodłączni towarzysze żołnierskiej służby na granicy. Ale nie oni jedni wiedzą. Z Tatrami żyli ongiś za pan brat zbójnicy, zbiegli chłopci pańszczyźniani, banici, a później wszyscy, którzy „ku Węgrom albo do Polski szli”. Skaliste urwiska i turnie dawały schronienie, utrudniały strażom pościgi, a znane ścieżki pozwalały na bezpieczne przejścia.

Droga przez Tatry dostępna była tylko dla ludzi silnych, bez lęku i tych, którzy je znali, schodzili zimą i jesienią, nocą i dniem.

Tędy od wieków prowadził szlak walki. Na trwałe weszło do historii powstanie chłopskie w Chochołowie przeciwko uciskowi zaborców i ciemieniu ówczesnych władców. Legenda głosi, że chochołowianie zagniewani na mieszkańców Czarnego Dunajca, którzy nie przyłączyli się do powstania, wystawili tyłem do tego grodu przydrożne kapliczki. Niektóre z nich przetrwały do dziś. W pamięci ludzi Podhala

pozostaje ciągle żywa postać dr. Tytusa Chałubińskiego – lekarza medycyny i odkrywcy wartości zdrowotnych regionu tatrzańskiego. W 1849 roku dr Chałubiński, wracając z Węgier, gdzie brał udział w powstaniu Lajosa Kossutha, dotarł do Zakopanego drogą przez Tatry. Chociaż minęły czasy księdza Stolarczyka, Sabały i Klimka Bachledy, droga przez doliny tatrzańskie, Spisz i Orawę była nadal uczęszczana. W okresie międzywojennym prowadziły tędy szlaki kurierskie KPP do Budapesztu, Moskwy, Berlina i Pragi. W 1933 roku przez zieloną granicę w Tatrach przechodził Wincenty Witos, trzykrotny premier Polski. Z tej drogi skorzystał również w 1941 roku marszałek Rydz Śmigły – Naczelnny Wódz Wojska Polskiego do 1939 roku, który po niesławnej „szosie zaleszczyckiej” powracał do kraju.[...]

[...]

Tragiczny dla Polski wrzesień 1939 roku i lata okupacji stanowią odrębną kartę w historii dróg wiodących przez granicę z Polski i do Polski, zagęszczonych szczególnie tu na Podkarpaciu. Już w połowie września na ówczesnej granicy polsko-węgierskiej poczęły gromadzić się wojska, urzędnicy państwowi i uchodźcy, a w kilka dni później przeszli na teren Węgier. Przywódcy tego kraju nie ulękli się Hitlera i nie spełnili jego żądań zamknięcia granicy, podobnie jak i wcześniejszych „prośb” o przepuszczenie przez terytorium Węgier armii hitlerowskiej do ataku na Polskę. [...]



*W Pierwszej Oficerskiej Szkole
Piechoty i Kawalerii (rok 1945)*



Mieliśmy już galowe mundury (rok 1946/1947)

[...]

Banderowcy czuli się pewnie wśród tej gęstwiny drzew. Nie wystawili nawet ubezpieczenia. Guzewski, który był najbliżej dymiącego pnia, dostrzega wejście do bunkra i małe okienka, a po chwili wychodzącego banderowca. Żołnierze zamierają w bezruchu. Tego trzeba wziąć żywcem, bez strzału. Bandyta kieruje się w ich stronę. Jedna sekunda, skok, cios i banderowiec wali się w śnieg. Nie trzeba przynaglać go do zeznań: „...W ziemiance jest szesnastu ludzi... Maję cztery karabiny, sześć empi, siedem automatów i dziesięć granatów... Zapas żywności: mąka, mięso, masło...”

Wzywają banderowców do poddania się i wyjścia z kryjówki, ale ci odpowiadają ogniem. Żołnierze biją w okna i po drzwiach, zamieniając je w drzazgi. Wrzucają do środka kilka granatów, które eksplodują głęboko pod ziemią. Kilkakrotnie krzyczą do bandytów by opuścili bunkier. Nic nie skutkuje. Każda próba podejścia żołnierzy jest odpierana ogniem. Granaty nie czynią żadnej szkody. Materiału wybuchowego i min nie było.

— Wezwijcie saperów z trzydziestego czwartego pułku — rozkazuje dowódca grupy.

— Bunkier trzeba wysadzić. Innej rady nie ma.

Żołnierze zostają na posterunku całą noc. Saperzy z materiałem wybuchowym nie dotarli do miejsca. Zbłądzili.

Mróz tężeje z godziny na godzinę. Wytarte płaszcze, wiatrem podszyte, nie osłaniają przed zimnem, które wciska się wszędzie. Nic gorącego do picia. Polowych kuchni nie ciągało się nigdy po tych wertepach. Po żelaznej porcji zostało tylko wspomnienie...

— Wykurzyć ich dymem — krzyczy ze złością któryś z podoficerów.

Żołnierze, nie czekając rozkazu, rzucają się po chrust, pod osłoną ognia erkaemów podpalają go i wpychają do środka. Bunkier zostaje zdobyty... [...]



*Wesele w Wołkowyi:
autor wspomnień w rzędzie za parą młodą, z lewej*